

*Krzysztof
Śliwka,
czyli „wierność
muzyce buntu”*

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

KAROL
MALISZEWSKI

W *Spokojnym mieście*, debiutanckim tomiku Krzysztofa Śliwki wydanym w Kłodzku w 1989 roku, miasto (świat) spokojne jest tylko na pozór, skoro czas, a potem przestrzeń, dotknięte są schizofrenią. Tomik otwiera *Psalń urodzinowy*, określając od razu wyjątkowe miejsce bohatera pośród „bezsztalnego tłumu”. To, co wyróżnia go z „zabieganej po uszy ludzkiej szarańczy”, przypomina historyczną mieszaninę bólu i euforii, lęku i wstępu. Niepewność dotyczy życia. – Czy mi naprawdę na nim zależy? – zastanawia się bohater i przytacza szereg pomysłów na wypisanie się z życia, które jest równie nieodgadnione jak miłość. Wędrówka do kolejnej kobiety, do tego wcielonego mitu, nadaje życiu tymczasowy sens. Sens na jedną wiosnę, jedną noc, jeden wiersz. Potem znów wpada się w depresję, narasta agresja. W tych wierszach często jest to autoagresja. Ranienie się, bolesne kaleczenie o coś, sekowanie staje się rytuałem doświadczania całej jaskrawości, ale i nudy, egzystencji.

Melancholik agresywny, to znów schizofrenik czuły i łagodny, roztapiający siebie, świat i rozdarcie w serii niezwykle błyskotliwych metafor, taki bohater wyłania się z niektórych fragmentów. Ostre odcinanie się jego jaskrawości od szarzyzny tłumy wiąże się z opresją dzieciństwa. Roi się od aluzji o niewydarzonym dzieciństwie. Tam miało miejsce pierwotne zranienie. Tam jest źródło kolejnych nieporozumień i podjęcia decyzji o egzystencji na marginesie normalnego świata. Bohaterowi najlepiej pośród odmieńców, artystów, wariatów. Sam kimś takim chce być. Na kogoś takiego się kreuje. Fotografia przedstawia szczupłego młodzieńca o zaciśniętych ustach. Na nadgarstkach bandaż z powiększającą się plamą krwi. Dramat Wojaczka rozgrywany jeszcze raz. „Po ulicach twardych jak pancerz

rozgwiazdy/ po nocnych melinach aresztach i podrzędnych knajpach z szafą grającą/ toczy się mój los niczym awanturnik Villon po późnośredniowiecznym mroku”.

Obok Francisa Villona w teatrze nadwrażliwości i odmienności występują Federico Garcia Lorca („Jak smutno umierać o świcie”), Pier Paolo Pasolini („byłeś nieoficjalnym patronem zbrojeńców i artystów”) i inni święci strategii wydziedziczenia, których „życie nauczyło nie bać się śmierci”: Bursa, Babiński, Ratoń, Wojacek. Śliwka prawidłowo rozpoznał prawdziwych antenatów i rzucił się z zachłannością porzuczonego dziecka ku wolności wywalczonej przez sztukę, gest artysty. Schizofrenia dni i nocy, schizofrenia losu, nędza dzieciństwa – wszystko to popchnęło jego poezję w stronę logorei oświeconego szaleńca, przerażonego nędznym i mechanicznym życiem, przeciwstawiającego mu własną wizję pełni, odwagi i prawdy. Ciemne ulice miast przeszywa tu błysk konwulsji. To poeta cierpi za niczego nieświadome miliony. I te miliony nie chcą poety, a tym bardziej jego cierpienia. Gdyby mogły, zesłałyby go do getta, rezerwatu. Kilkunastoletni Krzysztof Śliwka wypowiada wojnę takim porządkom świata. Gotów jest spełnić ofiarę, zaznaczyć się w tej rozgrywce po swoim. Powstrzymuje się w porę.

Jaskrawość semantyczna, rozdzierająca stylistyka debiutu Śliwki to nie tylko te wszystkie noże, cięcia, ostrza, żyłki, ciosy, to nie tylko krzyk, skowyt, konwulsja, spazm, blask w ciemności czy nagłe słońce w ogłupiałe, mętne źrenice. Ważne są kolory wściekłości, ironii i bólu, rodzaje farby nanoszonej na chropawe płótno. Świat odrzuca poetów, ale nie rozumie również malarzy. Umierają w opuszczeniu, biedzie, obłędzie. Ich duchy przywoływane są przez niejednego wierszotomę. Autor oddaje im cześć w jeszcze inny sposób. Postrzega świat jak nawiedzony malarz, rozdziera szare pejzaże cuchnących bram i rozpadających się murów swoistym krzykiem barw, bryzga po oczach i horyzoncie „biało-cynkowym jaśminem” i „lawiną żółcieni” bądź krwistym obłokiem unurzonym w rzeźni nieba.

Ekspresja wylewa się poza przepisowe miary wersów, tworząc niekończące się, rozbiegane i drżące łańcuchy narracji. Wylewa się ze zwykłego języka stekiem metafor jak inwektyw. Wybija się z fotograficznej monochromatyczności wrzaskiem kolorów. Napięcie wypycha na pierwszy plan gorącą chęć mówienia o sobie, pokoleniu, braku domu i sensu. Schizofrenia staje się świadectwem, zaklęciem, sposobem na ujarzmienie nienormalnego świata, zatrzymanie rozpedzonej karuzeli dni i sugestywne opisanie przygód generacji dojrzewającej do przełomu, rewolucji bądź śmierci.

Na pytanie Krzysztofa, który w liście do mnie powątpiewa, czy w ogóle była w tym jakaś poezja, odpowiadam, że trudno o lepszą w tamtym momencie, w chwili naszego wahania się, co dalej i z kim dalej. To najbardziej dobitny głos, jaki można było wydać, „gdy za plecami kilku nieznanych poetów malarzy czekało na egzekucję”. Miał ich pochłonąć czas, a nagrobki przyklepać zapomnienie; tymczasem te wiersze szukały wyjścia z impasu kultury, polityki i poetyki lat osiemdziesiątych, „szukały miejsca na poezję socjologię i skuteczny środek na aids”.

To, co mnie rzuciło w głąb wspomnień związanych z kłodzkim *Spokojnym miastem* (1989) i dzierzoniowską *Rajską rzeźnią* (1993), każe mi po raz kolejny przeczytać *Niepogodę dla kangura* (1996), *Gambit* (1998), *Rzymską czwórkę* (1999). Błogosławieństwo ponownej lektury książek wrocławskiego poety rozwiązało mi języki; bo tak chyba trzeba o tych wierszach mówić – wieloma językami. Śliwka czytany na nowo może być postrzegany już nie tyle w perspektywie buntu, co raczej w perspektywie nienasycenia, głodu, niepokoju. Jawić się może jako maksymalista i ekstatyk, zachłanny miłośnik życia. Trudno dzisiaj o poezję tak bardzo i dziwnie „życiową”, o tak sugestywny, rozjątrzony i samo-jątrzący się pamiętnik liryczny, życiorys świadka nakładających się na siebie epok. Jego wielki i jedyny temat to życie w najdrobniejszych szczegółach, życie postrzegane

jako pole realizacji ideału triumfalnie, po artystowsku, wypełniającego się losu. To zadanie ocala tożsamość, to jest ów codziennie przez bohatera odnawiany postulat, aksjomat wolności – trudnego tworzenia tożsamości w tak nieciąglych, nie tożsamych czasach. Ta właśnie zagadka najbardziej trapi bohatera. Jak oddzielić ziarno od plew? Prawdziwe życie od tego na niby? To go nosi i napędza, wręcz rozrywa i rozrzuca po „całej okolicy drobnej Europy”, sprawdzając zarazem w nieprawdopodobnych, często malowniczych i ekstrawaganckich sytuacjach. Nie interesuje go w tym względzie jakieś uporządkowanie czy zhierarchizowanie, określony społecznie podział ról. Akurat w tej sferze – według niego – prawdziwego życia nie ma wcale. To absolutna trupiarnia, gra pozorów, uśmiechnięte maski na nieżywych twarzach. Rodzina, dzieci, ciepłko, tatuś, mamusia, praca, zgrzytający kierat, czarna dziura po zarastającej wrażliwości i wyobraźni, cedząca się telewizyjnymi kanałami pustka. To zaprzeczenie życia, którego wszędzie pełno, lecz w tych uprzykrzonych schematach jest go najmniej – twierdzi bohater.

Teraz widać wyraźnie, że właśnie owa niesamowita zachłanność na własną prawdę i autentyczność, nienawiść do fałszu i sztuczności, ekstatyczność każdej niosącej niespodziankę chwili i pasja życia wypędziły tę osobowość ze społecznych schematów nabywania tożsamości, z zacisznych zakątków łatwego zadomawiania się w sensie na sposób mieszczański, a nie – jak sądziłem – z góry założony i jakby metodyczny, szczeniacki bunt kogoś, kto ślepo naśladuje dekadencje wzory z poprzedniego końca wieków. Ekstatyczność, która doprowadziła do kontestacji.

Źródła tej kontestacji wypływają jeszcze skądinąd. Jej korzenie – że tak powiem – są bardziej zakręcone niż się wydaje. Na chłodno wspomniane dzieciństwo nakłada się jakiś resentyment związany z pierwszymi, niezbyt jeszcze świadomymi symptomami współuczestnictwa, ze społeczną wspólnotą powszechnie zrozumiałych znaków, gestów,

symboli. Bardzo ciekawy jest opis stopniowego przechodzenia bohatera na pozycje antymieszkańskie, wyrywanie się z naturalnej otuliny mass- i pop-kultury w stronę prywatnych obowiązków noszących osobliwe piętno kontrkultury po polsku. Toż to cała epopeja pokolenia wychowanego w kulcie sukcesu, a potem gwałtownie wyrzuconego z pozorów dobrobytu, odciętego od ciepłych źródeł utopii, opowieść dziecka epoki późnego Gierka. Czuje się to podglebie społeczne, czuje się ową „szczególną traumę” jego szerokich i rozlewnych narracji. Bardzo płynnie w pejzaż niektórych wierszy wpisuje się pogłos idiomatyki tamtych lat, hasła, zawołania, slogany propagandowe i reklamowe, fragmenty relacji z masowych imprez politycznych, sportowych, kulturalnych. Głos bohatera wczesnych wierszy Śliwki jest głosem etatowego outsidera wychowanego w warunkach realnego socjalizmu na jakimś ciemnym i zapluty betonowym kawałku blokowiska. Głosem outsidera namiętnie hodującego swoją postronność i już zawsze obcość. Tak oto jeden z podwórkowej gromady wyrwał się do innego życia, wykreował swoją pojedynczość, reszta pozostała w stadzie albo wybrała całkowite samozniszczenie, nie znajdując wystarczających powodów do dalszego trwania.

Śliwka opisał to wszystko. Najwierniej jak mógł opisał przejście, przemianę własną i metamorfozę części pokolenia. Wybrał sobie wzorce określone nienasyconym i pasją życia, wybrał wielkich poprzedników zrywających z życiową poprawnością i poszedł ich drogą. Rimbaud, Apollinaire, Cendrars, Ginsberg, Kerouac, Rivers, Bukowski i wielu innych, bliskich mu „odmieńców”, piewców innego życia, alternatywnej kultury, barwne i ekstrawaganckie postacie z kręgów muzyczno-malarsko-filmowych. Strony tej „biblii kontrkultury” pełne są anglojęzycznych nazwisk, tytułów płyt i pojedynczych utworów rockowych, aluzji do życiorysów świętych hipsterów, przesycone są zapachem haszu i marihuany, obfitują w drastyczne i szokujące wtręty, które są jak wyznaczniki poszczególnych etapów odrywania się od

zwyczajności i powszedniości, owej wspólnoty trampkarzy uganiających się po zarośniętym chwastami boisku. Widocznie tej większości zabrakło pasji życia, ich głód poszukiwania prawdy egzystencji i najważniejszych wartości bytu był znikomy. Uniformizacja i zwykła gnuśność bardzo szybko zabijają tego rodzaju niepokoje. Bohater Śliwki oddał się im, zagłębił się w nie, krótko mówiąc: podjął wyzwanie trudnego życia w obnażeniu, w napięciu, w nieustannej czujności.

Jaki jest ton opisu, jaka barwa obserwacji, podglądania życia? Ton często drwiący, barwa w swoisty sposób melodramatyczna. W zadyszkę „lirycznego narratora” wplątuje się cień ironii i sarkazmu. Długie monologi wybuchają racami sarkastycznych point. Wszystko to przefiltrowane światłem miłosnych gorczy, dziwnie melancholijnego nieukontentowania i niepewności co do stanu i rodzaju uczuć. To stały repertuar mdląco-piekących pytań dotyczących tego, co się właściwie czuje i czy Ona czuje podobnie. Miłosna retoryka rodzi różne niejasne podejrzania, ciemne skojarzenia – błyskotliwą maszynериę znaczeń wąpiących w swoje pokrewieństwo. Z bolesną „romansowością”, z opowieścią w odcinkach o dziejach niepewnego uczucia splota się postawa „korespondenta wojennego”, relacjonującego z uporem w listach z pola walki o własną tożsamość (pośród wrogiego społeczeństwa) swoje dzień po dniu, myśl po myśli, przeżycie po przeżyciu, wrażenie po wrażeniu, porównanie po porównaniu. W ten sposób listy do bardzo oddalonej Niej piętrzą i wznoszą błyskotliwe budowle żywiołowych monologów ekstatyka, pasjonata życia i kochania, bycia i pisania, uciekiniera, outsidera, Obcego. Obcy oswaja wybrane kawałki świata, wysyłając doń listy. Śliwka chyba pierwszy z Poczty uczynił aż tak znaczącą figurę poetycką, choć jako „świadka stylu” trzeba byłoby przywołać Podsiadłę. Pośrednikiem w tym procederze jest dziewczyna, kobieta, jej interior (czyli gotowość, skrzynka pocztowa, otwartość, chłonność), włosy rozsypane na podłodze, jej skóra, współczująca świadomość, jej dziecinne marzenia o ułożeniu sobie życia, wspólnego życia.

I takim językiem nieźle włada Śliwka, i tym językiem też mówią jego wiersze. Jakimi jeszcze? O, to już inna historia. Opowieść o szukaniu mimo wszystko jakiejś transcendencji w raczej nie transcendentnym świecie. Już nie kontestacja, już nawet nie ekstaza i pasja życia, lecz próba ocalenia i zatrzymania, znalezienia Sensu i potwierdzenia go własnym wyborem, konsekwencją losu. Ten stan utrwalają po mistrzowsku niektóre fragmenty poematowo skonstruowanej *Rzymskiej czwórki*, gdzie zza rozchełstanego reportażu lirycznego z „nowej Arkadii” wypełnionej szprycującymi się szumowinami z całej Europy przebija głęboka potrzeba ocalenia i scalenia tych wszystkich strzępów bezceremonialnie „pchających się pod język”, uczynienia z nich opowieści sięgającej wymiarów mitu. Mitu pokolenia, które nie zdążyło dorosnąć w komunizmie, zaś osiągnięcie dojrzałości w kapitalizmie przychodzi mu z najwyższym trudem.

Opowiadanie innej historii rozpoczynają niektóre wiersze ze *Sztuki koncentracji* (2002), a w piękny sposób rozwijają utwory, określone w *Dzajfie @ Gibanie* jako „nowe”. W tamtym momencie myślałem, że doszliśmy do kresu takiego paradygmatu lirycznego. Zamilknięcie i wycofanie się poety tej rangi odbierałem jako sygnał bezradności wrażliwców wobec postępującej komercjalizacji literatury. Pośpieszyłem się ze swoją krytycznoliteracką pieśnią o braku i kresie. Śliwka pisał do szuflady i czekał na czas ponownego zaistnienia. I może rzeczywiście w pierwszej chwili gwałtowność gestu ustąpiła delikatności, czułości, poczuciu odpowiedzialności, bo nastał w jego życiu czas bycia mężem i ojcem. Najważniejsze było notowanie nawet najmniejszych drgań dojrzałej miłości. Poetycki opis podróży po Irlandii koncentruje się na obserwacjach wewnętrznych, na małych iluminacjach, a sławetna migotliwość świata zasłonięta została przez rejestrację doznań fundujących poczucie więzi i wspólnoty, przez skrupulatny opis kolejnego tygodnia oczekiwania na narodziny dziecka. Opowieść Śliwki o „zmieniających się priorytetach” jest dla mnie jedną

z bardziej wiarygodnych relacji dotyczących przejścia z anarchistycznych pozycji na bardziej pokojowe czy umiarkowane. Podoba mi się jej rzeczowość, przewrotność, wreszcie ludyczność. Żadnego już rozdzierania szat, żadnych „najwyższych tonacji”. Codzienna, trzeźwa i ironiczna, notacja powinna wystarczyć. Jednak żartobliwa „Pittura metafisica”, będąca podsumowaniem wszystkich języków Śliwki, wydawała otwierać się na coś zupełnie nowego, na ludyczną dykcję, którą poeta kwitował wzorem Bohdana Zadury, ale na swój sposób, społeczno-polityczne smaczki pierwszych lat XXI wieku. Nieprawdą jest, że bohater odpuścił, skapcaniał, odszedł w ciepłych kapciach w głąb przytulnego, ładnie przez Justynę urządzonego, mieszkanca, a pierwotna energia rozmyła się na jakieś narcystyczne drobne, wypływane z miną człowieka „nabrzmiątego doświadczeniem”. Śliwka ma gdzieś doświadczenie, jeśli nie prowadzi do buntu i porozumienia w buncie. Bunt się nigdy nie ustatecznia w tekstach takich zapaleńców, bezkompromisowych, żywiołowych komentatorów przygód własnych i cudzych.

Żaden z „wierszy nowych” dołączonych do *Dzajfy @ Gibany* nie trafił potem do tomu *Budda show* (2013), ale znaków porozumienia i ciągłości można sporo znaleźć. Przede wszystkim mamy ciąg dalszy „epifanii irlandzkich” – kontemplacji metafizycznych prześwitów między niebem, ziemią a morzem, głębokich tym bardziej, im częściej wchodzących w rozpamiętywanie więzi z Justyną i rosnącym w niej życiem. *Dzajfa @ Gibana* kończy się mocnym akordem, wyłonieniem nowego życia i określeniem jego cech – „Nasz Syn powoli upodabnia się do Buddy”. Nowy tom podejmuje ten wątek i rozpisuje na szereg znakomitych scen. Znakomitych w nieokreśloności nastroju i emocji. Ojcowska дума, rodzicielskie zafrasowanie i zaangażowanie przełamane sowizdrzalską nutą, pokryte mgiełką melancholii; a na konsystencję owej mgły duży wpływ ma dym z blantów. Przywoływana wcześniej *Pittura metafisica*, rastafariański hymn do

człowieczej pełni, możliwej jedynie w warunkach nieskrępowanej wolności, zda się utworem kluczowym, rozpisującym role dla wątków, obrazów, emocji, określającym linię melodyczną szyderczo cedzonego buntu. W *Pittura metafisica* jest wszystko to, co dookreślono w *Buddzie show*. W sensie biograficznym: narodziny drugiego syna. W kolejnych wierszach coraz mocniej dochodzą do głosu obaj synowie. Piszę się o nich zawsze dużą literą – „wszystko co dałem moim Synom mieści się/ Wewnątrz zaciśniętej dłoni”. W sensie poetyckim: zdecydowana obrona indywidualności, wściekła rozprawa z fanatycznymi systemami religijnymi, wzywianie do obywatelskiego nieposłuszeństwa, pochwała ucieczki w sztukę, szczególnie muzykę, i „dobre zioło”, gloryfikacja świętych undergroundu pokroju Egona Bondyego i jemu podobnych. Na takie z grubsza sfery da się podzielić rodzaje zaangażowania prezentowane w tomiku „Budda show”. W końcu głoszenie poglądu, że się ma w dupie świat i pociągających za sznurek funkcjonariuszy symboliczno-ideowego systemu jest formą zaangażowania. W tym sensie wzmianka o nowym holokauście (z wiersza *Gra planszowa*) to świadomy gest bluźnierczy. Przyzywanie wykonania wyroku na zblazowanej cywilizacji przez bliżej nieznanego bóstwo. Niewątpliwie synkretyczne, mające coś z Chrystusa, Buddy i Allacha razem wziętych. Działające na przekór nacjonalistyczno-religijnym atawizmom. Wytrącające broń z ręki, stwarzające muzykę łączącą ludzi. Muzykę, w rytm której płasają synowie poety. W domyśle – płasza przyszłość, następne pokolenia wolne od fanatycznych zacierzewień. Pokój, zioło, uśmiech Buddy, taniec, miłość, oświecenie. Wciąż żywa hippisowska, a potem punkowa, rewolucja. I jakże swojska w tym naszym polskim, dolnośląskim wydaniu.

Buddę show kończą poematy rzucające osobliwe światło na całą twórczość Śliwki. Na jej początki i miejsce, w którym się właśnie znalazła. Tak jakby przed oczami czytelnika namalowano mandalę. Zresztą ona i w dosłowny sposób jest na okładce tomu. A może raczej to jej

pozór czy parodia? Niestety, za blisko jestem tej poezji i jej twórcy, żeby dać się uwieść tezie o pozorach, udawaniu, persyflażu. Zresztą nie ufam również kojarzonej z nią koncepcji „naiwnego pisania”; zbyt prosta dychotomia. Jeżeli jednak to spektakl, to nie będę wiedział, co zrobić z biletami kupionymi w przedsprzedaży. Z uporem zostając przy nich, jak przy najcenniejszej pamiętce wspólnej młodości, wracam pamięcią do *Spokojnego miasta* i *Rajskiej rzeźni*, a jeszcze bardziej do czynionych na moich oczach artystyczno-życiowych gestów chłopaka zamykającego się na jakiś czas w strońskim psychiatryku, a potem jako punk walczącego z innymi ząbkowickimi subkulturami.

I kto wie, czy muzyka nie była w tym najważniejsza. Wierność muzyce buntu. Zresztą wszystkie te eksperymenty i poszukiwania wyrastając z głodu prawdy o sobie i swoim miejscu w systemie, sprowadzały się do przekonania, że bycie sobą nierozzerwalnie wiąże się z byciem poza systemem. Dojrzałość, w którą wpisuje się ta poetycka droga, wypracowała jeszcze inny model uporczywego buntu, towarzyszącego kłopotliwemu trwaniu w szczelinie między skrajnościami. Tak, żeby nie być automatem wykonującym ściśle określone przez społeczny rozdzielnik ruchy, a z drugiej strony nie wydziedziczyć się zupełnie, nie oddalić na manowce znane już tylko bezdomnym zwierzętom. Śliwka znalazł i Dom, i możliwość jego kontestowania, jednocześnie figury zaangażowania się w coś i stania z boku (wylogowania się z systemu, gdy trzeba). Nie każdy w ten sposób „oświecony” potrafi znaleźć adekwatny literacki wyraz tego stanu. Tu w jakiś naturalny sposób wierzy się, że rzeczywiście znaleziono.

SŁOWA KLUCZOWE: **POEZJA, WOLNOŚĆ, KONTESTACJA, RELACJA SPOŁECZNA**

Karol Maliszewski

KRZYSZTOF ŚLIWKA – FAITHFUL TO MUSIC OF CONTESTATION

Maliszewski analyses Krzysztof Śliwka’s poetry. Śliwka comes from Wrocław. He is one of the most renowned artists of his generation. *Quiet City* was the title of his first book, and the most recent one was entitled *Buddha Show*. Maliszewski concentrates on the originality of Śliwka’s project based on the poetic rebellion and defiance; he reveals personal, social and aesthetic source of contestation. All experiments by Śliwka rose from the hunger of the truth about people and their role in society, boiled down to the belief of being inextricably associated with space outside the system.

KEYWORDS: **‘POETRY, FREEDOM, CONTESTATION, SOCIAL RELATIONS**